

Dekonfederatyzacja Pentagonu

3 czerwca 2023

Na poniższej fotografii widzimy pewne muzeum na północy Francji. Jest to muzeum w Caen, upamiętniające II wojnę światową i bitwę o Caen toczoną w ramach Operacji Overlord – operacji lądowania w Normandii, a następnie jej wyzwolenia przez armie alianckie.



Kiedy przyjrzymy się bliżej temu zdjęciu, dostrzec możemy tam flagi państw, których żołnierze „wyzwalali” Normandię spod niemieckiej okupacji. Flagi te znajdują się po prawej stronie. Aczkolwiek jest tam także flaga Niemiec. No cóż, jak widzimy Francuzi mimo podboju, okupacji i terroru niemieckiego potrafili się pojednać ze swoimi katami. Nie mnie to z resztą oceniać.

Po lewej stronie zaś widzimy flagę Francji oraz element niepasujący, a więc flagę Ukrainy. Ktoś się zapyta: co ma Ukraina do muzeum bitwy o Normandię? Ano ma. Ukraińcy w niej walczyli – po stronie niemieckiej rzecz jasna.

Osttruppen, bo tak nazywano żołnierzy Wehrmachtu z terytorium Związku Radzieckiego, byli zarówno ochotnikami jak i przymusowo wcielonymi do niemieckich sił zbrojnych. Wśród

Ukraińców znany był zapał do służby na rzecz Niemców. Tym bardziej że ukraińscy nacjonałiści zachęcali swoich rodaków, aby ci zostawali kolaborantami/współpracownikami niemieckiego wysiłku wojennego i sami dobrowolnie zasilali formacje siłowe pod dowództwem niemieckim, np. dywizję SS „Hałyczyna”, która „odznaczyła się” przede wszystkim zbrodniami na polskiej ludności cywilnej w ramach policyjnych akcji pacyfikacyjnych i totalną klęską na realnym polu bitwy z Sowietami.

Ukraińcy co prawda walczyli także po stronie alianckiej, jednak byli oni tam tak nieliczni, że nie zostali nawet ujęci w powszechnie przyjętej nomenklaturze, według której w inwazji na Normandię wzięło udział 13 narodów: Amerykanie, Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Belgowie, Polacy, Czechosłowacy, Duńczycy, Francuzi, Holendrzy, Grecy i Norwegowie.

Skala obecności ukraińskiego żołnierza po stronie Wehrmachtu była więc z całą pewnością nieporównywalnie większa, niż po stronie aliantów. Dlaczego więc przed muzeum walk w Normandii obok francuskiej flagi stoi maszt z flagą ukraińską? Czym sobie Ukraińcy na to zasłużyli?

Możemy oczywiście opowiadać bajki o ukrainizacji Francji (żeby nie było – nie neguję zjawiska ukrainizacji Polski) jednak odpowiedź na to jest bardzo prosta: bo giną. Bo giną dzisiaj za Zachód, za zachodnie interesy, za tzw. zachodnie wartości, za zachodnie koncerny zbrojeniowe, za zachodnie banki, koncerny wydobywcze, przedsiębiorstwa rolnicze, korporacje finansowe, za zachodnią hegemonię.

Odpowiedź wydaje się banalna, jednak niejednemu przez myśl nie przyjdzie. Podobnie jak niejednen nie zrozumie, dlaczego amerykański Departament Obrony postanowił pozbyć się nazw baz wojskowych, nazwanych od członków armii konfederackiej z czasów wojny secesyjnej, właśnie teraz, w tym geopolitycznym okienku historii.



Nazwy amerykańskich baz wojskowych pochodzące od nazwisk postaci biorących udział w amerykańskiej wojnie domowej XIX wieku po stronie Południa były ustanawiane tak na początku XX wieku, jak i w trakcie II wojny światowej. W przypadku tego drugiego okresu powód był ku temu oczywisty: Waszyngton potrzebował dobrych, bitnych żołnierzy z południa kraju. A jak tu przekonać południowców, gdy w Białym Domu siedzi lewicowiec, który zaczyna wprowadzać socjalistyczne i „równościowe” szaleństwa, nieznane wcześniej w tym kraju, a Żydów i Afroamerykanów ustanawia ważnymi członkami tak swojego aparatu władzy, jak i swojej przybocznej „kadry porządkowej”? Jak w takiej sytuacji przekonać „rasistowskiego” południowca, aby ginął w wojnie z Hitlerem, z którym podzielał wiele poglądów na społeczeństwo i politykę?

Nic trudnego. Wystarczy nazwać to i owo bohaterami armii secesyjnej, a już lep na żołnierzy z Południa zacznie działać. No, skoro ten lewak Roosevelt nazywa bazy wojskowe imionami naszych dzielnych chłopaków, to może jednak jest swój gość i warto za niego pójść w kamasze?

Przypomniał mi się w tym miejscu pewien film, notabene trochę na czasie, gdyż traktujący o zarazie rozprzestrzenionej przez amerykańskich nacjonalistów. Film więc jest typową lewicowo-liberalną propagandą Hollywoodu, jaką przemysł filmowy z USA

nakręcił od groma, ale padają tam ciekawe słowa. A mianowicie członkowie nacjonalistycznej milicji co prawda krytykują Roosevelta, nazywając go „frajerem z dziesięciocentówki”, który „dał się wrobić w wysłanie amerykańskich chłopców do Japonii i Europy”, ale ich wódz w końcu dochodzi do wniosku, że „powiedział on wiele mądrych rzeczy i był dobrym Amerykaninem”.



Trudno ocenić, o co chodziło przywódcy ludowej milicji, ale czyż Roosevelt nie był „dobrym Amerykaninem”, gdyż za jego rządów, pomimo pierwszej wielkiej fali „równościowej gorączki”, bazy amerykańskie przywdziewały imiona wojowników Konfederacji?

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie czym była amerykańska armia w okresie II wojny światowej, zajrzyjmy do prac ekspertów, którzy poświęcili lata swojego życia, aby ten temat zbadać i napisać o nim wielotomowe „encyklopedie”.

Jednym z najlepszych autorów książek o drugiej wojnie światowej, ze szczególnym uwzględnieniem alianckiego wysiłku wojennego, jest w mojej opinii Rick Atkinson. Rzućmy więc okiem na jego monumentalne dzieło „Działa o zmierzchu”, które jest częścią trzecią jego wojennej trylogii. Atkinson opisuje w niej jak bardzo „postępowa” i „tolerancyjna” była

amerykańska armia w okresie ostatniego roku wojny. I to nie żart – Departament Wojny USA był wówczas naprawdę bardzo postępowy – umożliwiał śmierć na polu bitwy Amerykanom, którzy wyróżniali się przeróżnymi odmiennościami od normy i wadami, i którzy normalnie nie mieliby żadnych szans na dostanie się do US Army.

Oddajmy głos Atkinsonowi: „Przeciętny [amerykański] żołnierz miał 173 centymetry wzrostu i ważył 65 kilogramów. Wymagania fizyczne obniżono i zaczęto akceptować defekty, które dawniej nie pozwalały wielu młodym mężczyznom na noszenie munduru. Człowiek ze wzrokiem o ostrości 20/400 mógł zostać powołany, jeśli dało się ją skorygować do minimum 20/40 w przynajmniej jednym oku. W tym celu siły zbrojne wykonały dla żołnierzy 2,3 miliona par okularów. W prawdę przekształcił się stary żart, jakoby wojsko nie badało już oczu, lecz tylko je liczyło. Ludzie mogli trafić w kamasze, jeśli mieli tylko jedno oko, byli całkowicie głusi na jedno ucho, nie posiadali obu uszu zewnętrznych lub jeśli brakowało im kciuka albo trzech palców jednej ręki, w tym wskazującego. Na wcześniejszym etapie wojny poborowy musiał mieć co najmniej 12 z 32 zębów, teraz mógł być zupełnie bezzębny. Decyzją rządu do wojska trafiła jedna trzecia wszystkich cywilnych dentystów w Stanach Zjednoczonych. Łącznie wyrwali 15 milionów zębów i wstawili 68 milionów, wykonali też 2,5 miliona sztucznych szczęk. Dzięki ich pracy każdy żołnierz spełniał minimalny wymóg w postaci zdolności do »przeżucia armijnej racji żywnościowej«. Przyglądano się również wymaganiom psychicznym i osobowościowym. [...] US Army zaczęła przyjmować w swoje szeregi ludzi z »umiarkowanymi« zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, a także jakały. [...] Na początku 1944 roku co miesiąc do wojska trafiało natomiast 1200 mężczyzn z chorobami wenerycznymi, głównie syfilityków. Uznawano ich za zdolnych do służby dzięki nowemu cudownemu lekowi – penicylinie”.

Nie, żebym uważał każdego żołnierza z wymienionym powyżej zaburzeniem za mieszkańca amerykańskiego, prokonfederackiego

Południa. Chciałem jedynie zwrócić uwagę na fakt, że „tolerancja” Roosevelta miała zapewne swój konkretny społeczny cel: czyż dzięki niej USA nie pozbyły się w trakcie wojny z grona swoich obywateli osób powszechnie uznanych za niepasujących do pięknej i zdrowej części amerykańskiego narodu?

Można być oczywiście naiwnym lewakiem i uważać, że USA w II wojnie światowej pokazywały swój ludzki charakter, tolerancję dla odmienności i murzyńskości, dla syfilityków, głuchych, ślepych i bezzębnych. Realia są jednak takie, że wojna oczyściła USA z elementu niepożądanego, z patologii, brzydoty, oraz rzecz jasna z osób innego koloru skóry, wszak tych ostatnich w siłach zbrojnych USA służyło ponad 1,5 miliona.

Jednak wówczas znienawidzeni przez „żydowską” i liberalną północ „rasistowscy” południowcy byli dużo ważniejsi do obróbki, niż Murzyni. Wszak było ich więcej, lepiej się bili i wnosili większy wkład w pokonanie imperium Hitlera i cesarskiej Japonii. Dlatego też zjednywano ich, nazywając imionami ich bohaterów amerykańskie instalacje wojskowe.

O ile czasy jednak się zmieniają, o tyle Waszyngton wciąż stoi na straży politycznego realizmu. Dzisiaj biały Amerykanin bardzo niechętny jest do wstąpienia w szeregi US Army. Amerykańskie siły zbrojne powoli stają się mieszaniną Afroamerykanów i Latynosów. A jak tu przekonać, że ta „imperialistyczna” i „rasistowska” armia, która wysyłała żołnierza na podbój kolorowych ludów jeszcze kilkadziesiąt lat temu, może być dzisiaj domem dla niebiałej ludności Stanów Zjednoczonych? Ano pozrywać tabliczki, którymi zjednywano południowców 80 lat temu i zamienić je na bohaterów Murzynów i Latynosów.

W piątek 2 czerwca baza wojskowa Fort Bragg porzuciła swoją nazwę, pochodzącą od nazwiska generała Konfederacji Braxtona Bragga, który znany był z posiadania czarnych niewolników i podbijania Meksyku, walcząc w wojnie amerykańsko-

meksykańskiej, w wyniku której USA anektowały 50% terytorium tego państwa. Od tego dnia nowa nazwa tej instalacji Pentagonu brzmi Fort Liberty (Fort Wolności). Jak sugeruje „Military Times” ceremonia nadania nowej nazwy tej bazie wojskowej to „ważny krok w uczynieniu armii amerykańskiej bardziej przyjazną dla obecnych i przyszłych czarnoskórych członków służby”.

No cóż, gdybym był naiwnym lewicowcem, piałbym z zachwyty: jakież to dobre i szlachetne włączać niebiałą ludność w pełnię życia państwa amerykańskiego i usuwać ślady „rasistowskiej” przeszłości. Będąc jednak realistą, stwierdzam, że Pentagon i żydowsko-protestanckie elity amerykańskie bardzo dobrze dbają o to, aby niebiali obywatele Stanów Zjednoczonych z jeszcze większą werwą i animuszem ginęli za interesy imperialne USA. A wojny Waszyngtonu bynajmniej się nie skończyły. Co prawda wedle nowej doktryny amerykańskiej Pentagon chce walczyć ze swoimi dwoma głównymi wrogami (Chinami i Rosją), za pomocą mięsa armatniego z innych krajów. Co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że otwarta konfrontacja Waszyngtonu z Moskwą czy Pekinem zapewne wyskalowałaby do wojny nuklearnej i zagłady ludzkości. Jednak jest przecież jeszcze tyle państw na świecie, które aspirują do regionalnej hegemonii i bynajmniej nie mają zamiaru pogodzić się z dominacją jednego kraju na lądach i morzach, która trwa nieprzerwanie od 1991 roku i rozpadu wówczas jedyne go konkurenta do hegemonii amerykańskiej, a więc ZSRR.

Jeżeli wiemy więc, że są kraje takie jak Iran, które spędzają sen z powiek władcom świata, niech nikogo nie dziwi, że Pentagon za pomocą marchewki wabi do siebie kolorowe mięso armatnie, które ma ginąć w pierwszej linii ich imperialnych wojenek. Jeżeli biały południowiec doszedł już do pewnego poziomu inteligencji i zrozumienia mechanizmów rządzących się polityką i nie jest na tyle naiwny, aby wierzyć w „misję dziejową USA”, w której ma być gotów zginąć, to frajerów do tego trzeba łowić gdzie indziej.

Autorstwo: Terminator 2019

Źródło: WolneMedia.net